

Ligty do  
nieznanego  
przejścia



Joanna Święcicka  
Listy do nieznanego przyjaciela

Wydawnictwo WAM

Listy do  
nieznanego  
przyjaciela

© Wydawnictwo WAM, 2017

Opieka redakcyjna: Klaudia Adamus

Redakcja: Zofia Smęda

Korekta: Ewa Micyk

Projekt okładki: Michał Siciński

Skład: ChapterOne – Paweł Kremer

ISBN 978-83-277-1520-3

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

Druk: AMW • Wrocław

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK White 70 g wol. 1.6  
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

## Występ

**L**isty, które tworzą tę książkę, pisałam przez kilkanaście ostatnich miesięcy, ale w niektórych z nich cytuję również teksty, które powstały wcześniej. Pomysł zapisywania moich myśli przyszedł mi do głowy, gdy dostrzegłam, że często trudno jest uchwycić i zapamiętać nagle odkrycie prawdy, chwilowe „olśnienie”, które wyjaśnia problem nurtujący mnie w podświadomości. Myśl, która nie zostanie zamknięta w słowie, często jest ulotna i trudna do zapamiętania i weryfikacji.

Wербalizacja myśli jest rzeczą ważną i trudną. Oczywiście bywa ona formułowana w rozmowie, wtedy gdy próbujemy drugiej osobie przekazać nasze postrzeganie rzeczywistości, opisać świat wartości, opowiedzieć o naszej wierze. Rozmowy coraz częściej (?) ograniczają się jednak do wymiany informacji, a rzadziej dotyczą naszego postrzegania świata, naszego w nim miejsca i celu naszego w nim działania.

W czasach gdy nie istniały media elektroniczne, jednym z ważnych sposobów komunikacji była korespondencja

## *Listy do nieznanego przyjaciela*

listowna. Do tej pory fascynuje mnie lektura listów, w których ludzie pisali barwnie o swoim życiu, o swoich poglądach i uczuciach. To dotyczy pisarzy i twórców, ale zachowały się również wypowiedzi ludzi, którzy nie zajmowali się zawodowo pisaniem, a którzy właśnie w korespondencji dotykali głębokich problemów życia.

To dlatego w pewnym momencie pomyślałam, że warto spróbować wyrazić moje różne „odkrycia”, przemyślenia, doświadczenia – w formie listów. Ale do kogo mam je pisać? Próbowałam kierować je do konkretnych osób, ale po paru próbach odkryłam, że wtedy – pisząc – mam przed oczami tę osobę i wyobrażam sobie jej reakcję na przekazaną myśl. To wpływało zarówno na wybór tematu, jak i na sposób myślenia. Postanowiłam więc pisać do nieznanego przyjaciela, to znaczy do kogoś, kto mnie nie zna, kogo ja też nie znam i nic o nim nie wiem, ale jednocześnie jest mi życzliwy i chce poznać moje myśli.

W ten sposób zaczęły powstawać te teksty. Na początku musiałam nieznanemu przyjacielowi (ale również sobie) wyjaśnić, kim jestem, kim byłam i dokąd zmierzam. W pierwszych listach jest więc sporo o moim dzieciństwie, o dorastaniu w ateistycznym środowisku i o tym, jak doszłam do odkrycia wiary. Właśnie wiara i jej werbalizowanie, zrozumienie mojego doświadczenia Obecności Boga, ale też odkrycie Drugiego człowieka, jest tematem wszystkich listów. Próbuję w nich odpowiedzieć sobie na pytanie: Jak postrzegam Boga i jak patrzę na drugiego (Drugiego) człowieka?

Gdy pisałam te listy, nie przychodziło mi do głowy, że oprócz mnie ktoś będzie je czytał. Przyjaciel, do którego były adresowane, miał pozostać nieznanym. Listy pomagały mi zrozumieć moje doświadczenie, moje przeżywanie wiary. W trakcie pisania zobaczyłam, jak różne wydarzenia, spotkania z ludźmi, przeczytane książki wpłynęły na odkrycie i rozumienie mojej wiary. Nie pisałam tych listów z myślą o publikacji, dlatego nie próbowałam ich ujednoclić w formie, porządkować i unikać powtórzeń. Każdy z nich można czytać oddzielnie, z każdym można dyskutować, bo każdy jest właściwie moją oddzielną rozmową z nieznanym przyjacielem. Pisanie zmieniło mnie samą. Teraz już nie muszę pisać następnych listów, gdyż twarz nieznanego przyjaciela stała się twarzą Andrzeja, Marcina, Konstancji, Zuzanny, Jana, Biruty, Cezarego, Kingi, Krzysztofa... Twarz nieznanego przyjaciela stała się twarzą przyjaciela znanego.

Zdecydowałam się na publikację tych tekstów, mimo że nie była to łatwa decyzja, gdyż w listach piszę o sprawach bardzo osobistych. Sprawy związane z wiarą, miłością Boga i miłością człowieka to rzeczy intymne, ostatni bastion prywatności. Moja decyzja wiąże się z uświadomieniem sobie, jak wiele otrzymałam dzięki temu pisaniu, jak bardzo otworzyło mnie ono na świat przekraczający ten materialny. Odkryłam rzeczy, o których wcześniej nie miałam pojęcia, rozumiałam wiele z tego, co wcześniej było trudne. Sądzę, że skoro pisanie tych tekstów dało mi tak wiele, to – być może – ta książka będzie zachętą dla czytelnika do szukania

## *Listy do nieznanego czytelnika*

sposobu wypowiedzenia własnej wizji tego, co przekracza naszą rzeczywistość.

Z ogromną wdzięcznością wracam myślami do tych wszystkich ludzi, którzy – świadomie lub nieświadomie – pomogli mi w mojej drodze do wiary. Chcę także serdecznie podziękować księdzu Andrzejowi, Janowi i Birucie Turnauom, a szczególnie Marcinowi Moszyńskiemu: to dzięki ich uporowi i namowom publikacja tych listów doszła do skutku.



List 1

## Kim jestem

O doświadczeniu nieznanego Boga.  
Szukanie Fundamentu

Z pewną obawą piszę ten list do ciebie, nieznanego przyjaciela, ponieważ dotychczas nigdy nie próbowałam opisywać moich myśli i doświadczeń w takiej formie. Trochę ośmieliły mnie książki, które wpadły mi ostatnio w ręce: Gołubiew i Rahner<sup>1</sup>. To oczywiście zbyt wysokie progi, przez które nie będę próbowała się przedostać, ale wykorzystam pomysł. Gołubiew pisze do swojego przyjaciela, Rahner do Boga. Moje listy właściwie też są pisane do Boga, ale zdaję sobie sprawę, że to zawsze wymaga antropomorfizacji. Stąd moja korespondencja jest skierowana do ciebie, nieznanany, idealny, wyrozumiały, cierpliwy i pełen chęci zrozumienia przyjacielu.

---

<sup>1</sup> Antoni Gołubiew, *Listy do przyjaciela*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1959; Karl Rahner, *Modlitwy życia*, przekł. Juliusz Zychowicz, wyd. 2, Wydawnictwo WAM, Kraków 2001.

## *Listy do nieznanego czytelnika*

Po co piszę? Gdyż tylko w ten sposób, dzięki rozmowie z tobą, mogę wypowiedzieć i usłyszeć to, co sama czuję i co próbuję zrozumieć. Ponieważ ciebie nie znam, muszę założyć, że niczego jeszcze o mnie nie wiesz, choć wszystko chciałbyś zrozumieć i pojąć.

Zacznę od próby zwięzłego opisu początku mojej historii:

Mam na imię Joanna, chociaż groziło mi, że będę się nazywać Mercedes. Mój ojciec walczył w Hiszpanii, która stała się jego miłością (pod koniec życia został nawet jej honorowym obywatelem) – stąd pomysł na to dziwne imię. Na szczęście mama się nie zgodziła. Byłam jedynaczką. Rodzice w dzieciństwie nigdy nie mówili mi nic o historii rodziny. Zajęci swoimi sprawami, nie mieli dla mnie czasu. Wymyśliłam sobie, że jestem podrzuconym dzieckiem. Nie martwiło mnie to specjalnie, jednak dało poczucie, jakbym była sama swoim własnym dziełem. Nie miałam żadnej tradycji, w którą mogłabym się wpisać albo którą mogłabym kontestować. Później, już w szkole podstawowej, dowiedziałam się, że z punktu widzenia niektórych osób jestem Żydówką, chociaż nie wiedziałam co to znaczy. Ojciec był ważnym dygnitarzem PRL-u lat sześćdziesiątych, ateistą i wierzącym komunistą. Rodzice pochodzili z bardzo biednych rodzin. Mama była bardzo zdolna (po wojnie studiowała i zrobiła doktorat) i bardzo skupiona na swojej karierze. Zawsze czułam miłość ojca, natomiast o miłość matki musiałam walczyć z jej miłością własną.

Rodzice i wszyscy ich znajomi byli niewierzący. Ja też bardzo długo byłam szczęśliwą ateistką. Wiedziałam, że Boga nie ma. Co więcej, miałam wpojone przekonanie, że żaden inteligentny człowiek nie może być wierzący, a więc, jeśli ktoś mówi, że wierzy, to albo jest mało inteligentny, albo jest hipokrytą. Musiało minąć dużo czasu i musiałam poznać wielu ludzi, by stwierdzić, że tak nie jest.

Napisałam: „Wiedziałam, że Boga nie ma”. To prawda, wiedziałam, że Go nie ma, ale – od kiedy pamiętam – miałam poczucie Obecności. To nie było poczucie czyjejś obecności, lecz świadomość, że nie jestem sama. To było coś więcej: poczucie Obecności Nieobojętnej. Wiedziałam, że jest to złudzenie, ale czułam „to”. Z czasem zaczęłam odczuwać pewnego rodzaju interwencję w moje życie i związaną z tym wdzięczność: miałam wrażenie, jakby ktoś delikatnie mną kierował. Czasem było to śmieszne. Pamiętam: idę z jakąś pretensją i złością i nagle potykam się na prostej drodze. Mam dziurę w pończosze (to zapewne koniec lat pięćdziesiątych, więc mam pończochy w prążki) i dziękuję (komu?), że mnie z tego stanu ducha obudził. Albo kilka lat później: idę ulicą bardzo z siebie zadowolona, zarozumiała, z głową w chmurach – i nagle zderzam się z kimś, kto znienacka zatrzymał się przede mną. Obrywam łokciem w głowę i wybucham śmiechem, ku zdziwieniu faceta, który chciał mnie przeprosić. A ja czułam, że ktoś mnie przywołał do porządku. I czułam wdzięczność.

Gdy byłam starsza, próbowałam to zrozumieć. Słyszałam już coś o Bogu, wiedziałam, że niektóre moje koleżanki

## *Listy do nieznanego przyjaciela*

w Niego wierzą, więc zaczęłam pytać. To, co umiały o Nim powiedzieć, było kompletnie pozbawione sensu. Później, już w liceum, razem z moją przyjaciółką Niną, która też była z pochodzenia Żydówką, poszłyśmy kiedyś na lekcję religii do kościoła Świętego Zbawiciela. Zapytałyśmy, czy możemy chodzić na religię, bo chciałybyśmy się czegoś o Bogu dowiedzieć. Ksiądz powiedział, że Żydzi zabili Jezusa, i nas wyrzucił. Ninka niedawno powiedziała mi, że bardzo ją to zabolowało, ale ja zupełnie tego nie pamiętam, poza tym że nas na te lekcje nie przyjęto. Myślę, że to znów szczęśliwa interwencja, bo gdybym chodziła na te lekcje, to trudniej byłoby mi poznać Boga.

Przypominałam sobie epizod z wczesnego dzieciństwa, który pokazuje, że coś jednak o Bogu słyszałam: opowiadała mi o Nim moja niania. Przede wszystkim nauczyła mnie, jak należy się przeżegnać; mówiła, że kiedy przyjdą Niemcy, to postawią dzieci pod ścianą i każą im zrobić znak krzyża. Wszystkie dzieci, które nie będą tego umiały, zostaną rozstrzelane. Opowiadała mi o Bogu i kazała się do Niego modlić. Opisywała piekło i mówiła, że pójdą do niego wszyscy komuniści i niewierzący. Wiedziałam, że moi rodzice nie wierzą, więc prosiłam Boga, żeby ich do piekła nie posyłał. Moja wiara z tamtego okresu skończyła się, gdy niania opowiedziała mi wojenną historię, która miała pokazać skuteczność modlitwy. W Warszawie była łapanka. Młody człowiek, razem z wieloma innymi, został postawiony pod ścianą. Niemcy ogłosili, że rozstrzelają co dziesiątą osobę. Młody człowiek modlił się do Boga, prosząc Go o litość. I Bóg go wysłuchał:

hitlerowiec pomylił się i zastrzelił następnego. Ta opowieść na długo zbudowała ścianę odgradzającą mnie od Boga.

Zapewne w moich listach jeszcze wielokrotnie wrócę do wspomnień z dzieciństwa. To nie był szczęśliwy dla mnie czas, ale wtedy dokonywałam wielu odkryć, które zasiane w moim wnętrzu kiełkowały i w różnych momentach życia przynosiły owoce.

Na koniec tego pierwszego listu napiszę o próbie znalezienia podstaw mojej wiary: nazywam to Minimalnym Fundamentem. Odkryta późno wiara jest dla mnie bezcennym centrum życia, więc długo zastanawiałam się, w jaki sposób mogę zabezpieczyć się przed jej utratą. Odkryłam, że ważne jest odnalezienie podstawowego, minimalnego, dostatecznego, a przede wszystkim niepodważalnego fundamentu, na którym będzie zbudowany gmach mojej wiary. Taki fundament powinien składać się z niefalsyfikowalnych (to znaczy niemożliwych do obalenia) stwierdzeń i być na tyle obszerny, by można było na nim zbudować gmach wiary, o którym mówią nam ewangeliści.

Wierzę, że Jezus zmartwychwstał i że Jego grób był pusty. Zmartwychwstanie, to znaczy powtórne pojawienie się w postaci człowieka, jest jednym z filarów mojego Fundamentu, ale pusty grób już nie. Dlatego, gdyby nawet odkryto grób Jezusa i ze stuprocentową pewnością wykazano, że są w nim Jego kości, nie zachwiałyby to moją wiarą. Wierzę, że Matka Boska nie współżyła ze św. Józefem, ale tego nie ma w Fundamencie; gdyby nawet wykazano nieodparcie, że Jezus miał rodzonych braci i siostry, nie zachwiałyby to moją wiarą.

## *Listy do nieznanego czytelnika*

Zacząłam się zastanawiać nad opisaniem tego Minimalnego Fundamentu. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że każda taka próba będzie jedynie dalekim przybliżeniem, ale tylko próbując i poprawiając, można pisać się ku lepszemu zrozumieniu własnej wiary, a więc dążyć do poznania objawiającego się nam Boga.

Jako pierwsze elementy mojego Fundamentu przychodzą mi do głowy następujące stwierdzenia:

Bóg jest stwórcą wszystkiego, to znaczy, że wszystko, co jest człowiekowi dostępne w sferze materialnej i duchowej, pochodzi od Boga. Bóg nadaje prawa rządzące naszym światem materialnym. Są one darem pozwalającym człowiekowi na coraz lepsze wykorzystanie otaczającej nas przyrody i dokładniejsze przewidywanie przyszłości. Również czas pochodzi od Boga, który jest poza, ponad czasem.

Bóg jest Miłością. Miłość to pragnienie powoływania Dobra do istnienia. Miłość nie jest monolitem, lecz Osobami nierozdzielnie połączonymi pulsującą wymianą, relacją między Nimi.

Bóg stworzył człowieka. Dzieło stwarzania zostało zakończone wraz z Wcieleniem. Wcielenie przemieniło każdego człowieka i każdy stał się Bożym dzieckiem. Bóg pragnie zbawienia dla każdego człowieka.

To tylko początek... Stopniowo będę szukać następnych elementów mojego Fundamentu i próbować je zrozumieć oraz opisać budowlę, która na tym Fundamencie się wznosi.

Do spotkania w następnym liście.

## Liść 2

# Dzieciństwo

Spojrzenie miłości. Wiara i boska „antropologia”

**B**ardzo podobało mi się pisanie poprzedniego listu. Z twojej odpowiedzi wynika, że chętnie przeczytasz następne. Postaram się w nich pisać zarówno o tym, jak odkrywałam wiarę w moim życiu, ale i o tym, jaka ona jest teraz, po ponad trzydziestu latach od jej przyjęcia.

Pytasz, dlaczego napisałam, że moje dzieciństwo nie było szczęśliwym czasem. Sama się nad tym zastanawiam. Miałam wszystko, a moja mała rodzina była bardzo zamożna jak na tamte siermiężne, powojenne, „socjalistyczne” warunki. Nie cierpiałam zatem z powodu niedostatku. Przyczyną mojego poczucia braku szczęścia była samotność. Miała ona różne twarze: z jednej strony to, że byłam jedyną córką rodziców spędzających mało czasu w domu, skazywało mnie na częste samotne przebywanie w pustym ogromnym mieszkaniu. Nawet obecność gosposi w służbowym pokoju nie zmieniała tego odczucia.

## *Listy do nieznanego czytelnika*

Drugim męczącym mnie rodzajem samotności było wcześniej odkryte poczucie bycia „pod kloszem”, odizolowania od ludzi. Z powodu stanowiska mojego ojca stosunek wielu osób do mnie był nienaturalny. Wiedziałam, że nie powiedzą mi tego, co mówiliby, gdybym nie była jego córką. Traktowali mnie lepiej lub gorzej, w zależności od swojego stosunku do mojego ojca. Ze smutkiem spostrzegałam, że nawet gdybym była głupia i mówiła bzdury, to i tak bym się o tym nie dowiedziała. W kontaktach z innymi ludźmi odkrywamy, jak w lustrze, swoje prawdziwe oblicze – a ja miałam przed sobą krzywe zwierciadło.

Innym powodem smutku były niesłychanie wysokie oczekiwania mojej mamy, która chciała, abym realizowała jej niespełnione marzenia, w szczególności abym zawsze była najlepsza w nauce. Chciała też, abym była ładniejsza i ciągle dawała mi to odczuć. Często, gdy miała do mnie pretensje, mówiła, że nikt nigdy nie będzie mnie lubił, bo jestem taka niemiała.

W moim życiu spełnia się jednak przysłowie: Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Te błędy (sądzę, że to były błędy wychowawcze, z których mama nie zdawała sobie sprawy), otóż te błędy, które były przyczyną moich dziecinnych smutków, zaowocowały bardzo dobrymi dla mnie owocami.

Byłam w liceum, gdy mama jak zwykle dopytywała się, dlaczego dostałam „cztery plus”, a nie „pięć”, i kto dostał „pięć”, i dlaczego to nie byłam ja. Nagle zobaczyłam absurd



takiego ścigania się. Jakby ten bat, który mnie poganiał do bezsensownego wyścigu, złamał się i stracił nade mną władzę. Jakbym została uratowana z wyścigu szczurów. Do dziś pamiętam niemal fizyczne uczucie uwolnienia. Od tej pory zaczęłam się ścigać tylko sama ze sobą. To ogromny dar, bo w tym wyścigu zawsze mogę wygrać.

Również ciągle narzekanie na mój wygląd przyniosło wspaniałe rezultaty. W pewnym momencie uznałam, że skoro nie mogę być ładna (stanowczo odrzucałam pomysły operacji plastycznych, którymi mama chciała poprawiać mój wygląd), to będę mądra. Odtąd nie brałam już pod uwagę tego, co ludzie myślą o moim wyglądzie. To też był dar, gdyż nauczyłam się nawiązywać z mężczyznami przyjacielskie, głębokie więzi, unikając powierzchownych związków. To bardzo ważne, aby nauczyć się oddzielania uczucia przyjaźni, będącej drugim imieniem miłości, od pociągu fizycznego, który jest czymś odrębnym. Nauczyło mnie to kontrolowania i zgłębiania moich uczuć.

Z kolei trzeci dobroczynny błąd wychowawczy: „Nigdy nikt nie będzie cię lubił” – nauczył mnie dość wcześnie takiego zachowania, które przyciąga do mnie ludzi. Pamiętam jazdę zatłoczonym tramwajem do szkoły i wyzwanie, jakim były (i dotychczas są) smutne, ponure, często wrogie wobec świata miny współpasażerów. Chciałam, żeby ci ludzie, którzy nic o mnie nie wiedzą, spojrzeli na mnie, zobaczyli mnie i uśmiechnęli się do mnie. Po różnych próbach odkryłam rzecz niesłychanie ważną: aby ci obcy, zmęczeni ludzie

uśmiechnęli się do mnie, muszą odczuć, że ja pierwsza ich lubię. Dzięki temu odkryciu nauczyłam się wyostrzać spojrzenie, by dostrzec to, co kryje się za ich nieprzystępną miną, odgadnąć ich wyjątkowość, pragnienia i lęki. Jeśli udało mi się to uchwycić, moje spojrzenie nabierało mocy i przyciągało ich uśmiech. Oczywiście, to były moje pierwsze kroki, ale dały początek takiemu patrzeniu na ludzi, którego później uczyłam się od niewidomych<sup>2</sup>. O tym „patrzeniu” będę jeszcze wielokrotnie pisać.

Tyle o tym, co było kiedyś.

Teraz wracam do mojej wiary.

Pisałam ci już o próbie znalezienia Minimalnego Fundamentu mojej wiary. Stopniowo będę próbować go odkrywać. Na razie jest w nim niewiele elementów, ale są one bardzo ważne. Będę je po kolei opisywać i analizować.

Bardzo ważnym elementem Fundamentu jest antropologia, to znaczy opis tego, jak rozumiem słowa „stworzył człowieka”. To, kim jest człowiek, pozostaje głęboko i niepodzielnie związane z tym, w jaki sposób został stworzony. Otóż wierzę, że stworzenie człowieka polegało na czymś innym niż powoływanie do bytowania<sup>3</sup> innych bytów.

Wszeczeństwo i wszystko, co w nim jest – poza człowiekiem – powstało dzięki nadanym na początku świata prawom

---

<sup>2</sup> List 19.

<sup>3</sup> W dalszym tekście wielokrotnie będę podkreślać różnicę między „być” i „istnieć”. W języku potocznym te dwa czasowniki mają to samo znaczenie, ja jednak będę starała się wyjaśnić, że dla mnie „istnienie” jest związane z przeobstwowieniem, to znaczy z wejściem w świat pozamaterialny (List 8 i dalsze).

przyrody. Świat rozwijał się zgodnie z tymi prawami, które same w sobie są cudem Boga. Bez nich nic by nie powstało.

Spośród wszystkich stworzeń, które pojawiły się na Ziemi dzięki prawom przyrody i Bożej ingerencji, Bóg wybrał sobie jeden gatunek. Stwórca wiedział, że przedstawiciele tego gatunku spełnią Jego oczekiwania i z nich będzie mógł uformować osobę na swój obraz i podobieństwo. Ten wybór to jakby pierwszy etap stwarzania człowieka.

Gdy ten praczłowiek okrzepł i dorósł do następnego etapu, Bóg dał mu wolność, której nie ma żadne inne stworzenie: ta ludzka wolność to możliwość nierobienia tego, do czego skłania instynkt lub zdrowy rozsądek, związany z umiejętnością przewidywania konsekwencji. Wolność sprawiła, że człowiek stał się odpowiedzialny za swoje czyny, a nawet za swoje myśli. Jego czyny i myśli nabrały wartości etycznej, jakiej nie mają zachowania zwierząt. Wszystko, co robią zwierzęta, „jest dobre” – ale w tym przypadku słowo „dobre” nie ma etycznej konotacji. Ta wolność, trudny element człowieczeństwa, została nadana (raczej: zadana) człowiekowi w momencie, który jest opisany w Starym Testamencie jako pierwszy grzech: dzięki spożyciu owocu z drzewa znajomości dobra i zła Adam i Ewa dostrzegli, że niektóre ich czyny, które dotychczas były „naturalne”, są „złe”. W tym momencie rozpoczęła się historia człowieka; człowiek wszedł w historię świata, w historię zbawienia. To zakończyło drugi etap stwarzania człowieka.

Człowiek wciąż jednak nie był „dokończony”. Aby zrozumieć, czego brakowało człowiekowi Starego Testamentu,

muszę zastanowić się nad tym, „po co” Bóg stwarza człowieka. Odpowiedź na to pytanie jest zakopana gdzieś głęboko w moim sercu i nie potrafię jej dobrze zwerbalizować. A jednak spróbuję: Bóg jest miłością; to znaczy, że miłość nie jest tylko jednym z przymiotów Boga, lecz Bóg i miłość są tym samym, Miłość to imię Boga<sup>4</sup>. Miłość pragnie wzrastać, rodzić owoce przez przeobstwienie człowieka, przez zjednoczenie go z Bogiem w wieczności.

Do zakończenia dzieła stworzenia człowieka brakowało tego jednego elementu – możliwości uczestniczenia w wieczności w Bożym bycie. To dokończenie nastąpiło wraz z przyjściem Boga w świat ludzi w ludzkiej postaci. Wraz z Wcieleнием Boga w ludzkie dziecko każdy człowiek stał się „bratem” Bożego Syna, a więc każdy stał się Bożym dzieckiem. To tak jakby w każdym człowieku zostało złożone ziarno boskości, które w ciągu jego życia rozrasta się wraz z dobrem przez tego człowieka czynionym. W ten sposób dzieło stworzenia zostało zakończone.

Zdaję sobie sprawę, że obrazy te w niedoskonały sposób oddają to, co przeczuwam, i co na pewno jest bardzo oddalone od istoty stworzenia. Sądzę jednak, że koniecznie trzeba próbować werbalizować swoje przecucia, dbając, by ich nie absolutyzować i zawsze być gotowym na dalsze poszukiwania. Ogromnym problemem, który nieuchronnie pojawia się, gdy próbujemy opisywać „działanie” Boga, jest zakorzenienie

---

<sup>4</sup> Por. Listy 5 i 26.

naszego języka, naszego myślenia i naszego bycia, w czasie. Bóg jest twórcą i władcą czasu, dlatego to, co dla Niego jednoczesne, dla nas, ludzi uwięzionych w czasie, może rozciągać się na wieki. Nasz czas jest ukierunkowany – przyczyna zawsze poprzedza skutek. Tymczasem Boże działanie, umiejscowione w konkretnym momencie naszej historii, może mieć skutek również w przeszłości. Sądzę, że takim wydarzeniem, które zmieniło całą ludzkość, było właśnie Wcielenie.

W następnych listach spróbuję wyjaśnić – i tobie, i sobie – na czym według mnie polega „obraz i podobieństwo” człowieka do Boga<sup>5</sup>.

---

<sup>5</sup> List 3.



## Liść 3

# O „posiadaniu”, o „chceniach” i o kłamstwie

Antropologii ciąg dalszy

**D**ziś nie zacznę od wspomnień, ale od spraw związanych z moją wiarą. Wróciłam właśnie z pierwszej części rekolekcji, które głosił biskup Grzegorz Ryś. Nie będę pisać o rekolekcjach, ale o ich temacie: *Bogactwo i ubóstwo*. To bardzo ważne zagadnienia. Papież Franciszek przykłada ogromną wagę do ubóstwa. Temat bogactwa i ubóstwa wielokrotnie był przedmiotem wypowiedzi Jezusa i apostołów. Niesprecyzowana denotacja tych słów powoduje jednak, że sens niektórych wypowiedzi o bogactwie i ubóstwie jest rozumiany. Język okazuje się zbyt ubogi, by można było w nim znaleźć oddzielne słowa na opisanie skomplikowanego świata materialnego, a tym bardziej niewykonalne jest zamknięcie w słowach bogactwa świata ludzkich postaw, relacji i stanów

ducha. Trzeba więc często zatrzymywać się i zastanawiać nad znaczeniem wypowiedzianych słów – po to, aby nie używać ich w różnym sensie. Taki brak definicji może doprowadzić do błędnych rozumowań, gdyż w trakcie wypowiedzi zmieniają się desygnaty użytych słów. Zmiana znaczenia słów w trakcie wypowiedzi sprawia, że pozornie logiczny wywód prowadzi do fałszywych wniosków.

Dlatego spróbuję znaleźć definicję bogactwa i ubóstwa, do której odnoszą się wypowiedzi Jezusa (na przykład w Kazaniu na górze).

Zacznę od zdefiniowania dwóch różnych relacji zależności występujących między człowiekiem a niektórymi przedmiotami, dobrami materialnymi, zwierzętami, a nawet innymi ludźmi. Nazwę je „mieć” i „posiadać”. „Posiadać” jest relacją, w której posiadający i rzecz posiadana stanowią zamknięty układ; posiadający jest zależny od posiadanego przedmiotu, nie może się od niego uwolnić, gdyż wtedy przestałby być posiadaczem. W pewnym sensie posiadacz jest posiadany przez to, co jest w jego posiadaniu. Mówi o tym historia młodzieńca, który nie poszedł za Jezusem, albowiem posiadał wiele.

„Mieć” jest relacją innego rodzaju: przedmiot, który ktoś „ma”, jest swoistym depozytem, czymś powierzonym mu w jakimś celu. Właściciel, czyli ten, który „ma”, nie jest jednak uzależniony od tego, co „ma”. Ten układ: właściciel i jego (chwilowa) własność, ma swój cel wyznaczony przez Tego, który powierzył właścicielowi własność. Mówi o tym przypowieść o talentach.



Otóż jestem przekonana i mogę znaleźć cytaty na potwierdzenie tego poglądu, że bogaczem jest nie tylko ten, który posiada wiele dóbr, ale również ten, który pragnie ich posiadania. Stąd biedak może być bogaczem (w duchu). Ubogi natomiast to ten, który niczego nie posiada. Człowiek zamożny może być zatem „ubogi”, jeśli swoich dóbr nie „posiada”, ale je ma i używa ich zgodnie z celem, w jakim zostały mu powierzone (przez Boga), a także gotów jest je rozdać, jeśli zostanie do tego powołany. Do spraw związanych z tak rozumianym znaczeniem słów „posiadać” i „mieć” wrócę na pewno w następnych listach<sup>6</sup>.

Wracam teraz do mojej historii. W poprzednich listach napisałam o tym, że od najwcześniejszych chwil mojego świadomego życia (a może jeszcze wcześniej) czułam Obecność. Jednak wciąż byłam daleka od wiary, bo nie wiedziałam, czym ona jest. Gdy teraz zastanawiam się, czym różniło się moje życie „przed” od tego „po” przyjęciu wiary, nasuwa mi się jedna zasadnicza różnica: otóż „przed” bardzo „chciałam”, pragnęłam, miałam swój projekt na życie, do którego realizacji dążyłam z zaciśniętymi zębami. Do tej pory pamiętam napięcie woli, gdy miałam nieomal wrażenie, że moje pragnienia zmieniają rzeczywistość. Co więcej, właściwie wszystkie takie pragnienia udawało mi się zrealizować. Miałam wówczas poczucie ogromnej mocy. To minęło w chwili mojego chrztu. Namacalnie doświadczyłam wtedy takiego wewnętrznego

---

<sup>6</sup> Na przykład List 21.

## *Listy do nieznanego przyjaciela*

„amen” (ksiądz Twardowski mówił na kazaniach dla dzieci: „A teraz, kochane dzieci, powiemy takie ważne słowo *amen*, to znaczy niech będzie tak, jak Ty tego, Boże, chcesz, a nie jak mnie się podoba”). Potem, po chrzcie, nastąpił – trwający do dziś – stan atrofii „chcienia”. Oczywiście często widzę jakieś rozwiązanie problemu, który przede mną staje, wydaje mi się ono pożądane i dobre, ale zawsze odzywa się we mnie to „amen”, gotowość przyjęcia innego projektu, jeśli on zostanie mi zadany.

Gdy myślę o swoim ateistycznym życiu, o tym „chcieniu”, naginaniu rozwoju wydarzeń do mojego projektu, to dziękuję Bogu za to, że w jakiś sposób uchronił mnie od złych pragnień i czynów. Myślę, że to było rezultatem głęboko zakorzenionego w moim sercu lęku przed kłamstwem. Od najmłodszych lat czułam zagrożenie, jakie niesie kłamstwo; w pewnym sensie niszczy ono świat, tworząc w jego miejsce fałszywą makietę.

W czasach mojego dzieciństwa pamięć wojny wisiała w powietrzu, lęk przed nowymi konfliktami był wszechobecny. Wymyśliłam więc sobie receptę na uzdrowienie świata: myślałam, że gdyby umówić się, że wszyscy na świecie przestaną kłamać, to wszelkie problemy zostaną rozwiązane. Miałam wtedy kilka lat i nie wiem, skąd wziął się u mnie ten stosunek do kłamstwa, zwłaszcza że moi rodzice, a mama szczególnie, uważali, iż kłamstwo nie jest niczym złym, pod warunkiem że nie wyjdzie na jaw: do dziś pamiętam torturę, jaką było dla mnie odbieranie telefonów i mówienie

na polecenie siedzącej obok mamy, że nie ma jej w domu. Pamiętam też moje przerażenie, kiedy w szkole dostałam dobry stopień, gdy zapomniawszy pracy domowej, oddałam jako własną pracę mojej przyjaciółki. Z płaczem przyznałam się do tego nauczycielce... Oczywiście później zdarzało mi się „mijać z prawdą”, ale zawsze połączone to było z ogromnym wewnętrznym dyskomfortem.

Wciąż sądzę, że właśnie kłamstwo jest początkiem całego zła. Kłamstwo to w pewnym sensie zaprzeczenie wiary w istnienie Boga, w którym wszystko istnieje, także przeszłość, który zna nasze myśli i intencje. W jakimś sensie kłamstwo jest w Niego wymierzone. Wiele naszych złych czynów wynika z okłamywania siebie samych, gdy fałszywie postrzegamy nasze motywacje lub zakłamujemy prawdziwą ocenę działań. Często wyraża się to w języku: „jazda na gapę” nie jest tak pejoratywnym określeniem, jak „kradzież biletu”, łatwiej mówić o „zabiegu przerwania ciąży”, niż o „zabiciu nienarodzonego dziecka”. Takie kłamstwo tkwi w głębi naszego serca i umysłu, budując w nas fałszywy świat. Ukryte kłamstwo leży u podstaw wielu naszych złych wyborów. Wierzę, że na ogół ludzie pragną dobra i nie chcą zła, a zło, które czynią, rodzi się z kłamstwa, które zło nazywa dobrem, lub przynajmniej to zło relatywizuje.

Wróć teraz do antropologii, o której pisałam ci w poprzednim liście. Otóż sądzę, że tworzenie człowieka zostało dokonane wraz z Wcieleniem, z zasianiem w każdym człowieku ziarna boskości. To wydarzenie jest jak błysk światła, ono

przemieniło całą ludzkość i każdego człowieka: tego, który żył wtedy, tego, który dopiero miał się narodzić, i tego, który żył wcześniej. W ten sposób powstał człowiek wyjęty ze świata zwierząt. Powstał człowiek lub raczej Człowiek. Nie nowy gatunek zwierząt obdarzony większymi możliwościami. Nie! Człowiek to nie gatunek zwierząt ani zbiór osobników o podobnym kodzie genetycznym, ale korowód „jednostek” – jak pisał ksiądz Piwowarczyk. „Jednostek” – niepowtarzalnych osób – z których każda powołana została do dążenia w kierunku Boga. Każdy człowiek, stworzony „z osobna”, jest niepowtarzalnym dziełem Boga, a nie jednostką w tłumie osobników.

W odróżnieniu od przedmiotów i zwierząt, które po prostu „są”, człowiek nie „jest”, ale „staje się”. „Staje się”, to znaczy: w czasie swojej ziemskiej egzystencji realizuje jedyny, wyjątkowy projekt Boga. Gdy myślimy o zmarłych, nie mamy przed oczami ani dziecka, którym kiedyś był zmarły, ani starca, którym będąc, umarł, ale obejmujemy osobę jako całość. Oczywiście, nasza myśl może się koncentrować na pewnym momencie życia zmarłego, ale wszystkie chwile jego życia należą do istoty człowieka. Po śmierci wejdziemy w wieczność w prawdzie o każdej chwili naszego ziemskiego bytu.

Człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo. Co to dla mnie znaczy: „na obraz i podobieństwo”? Nie mam zamiaru prowadzić tu uczonej rozprawy. Postaram się krótko i tylko powierzchownie napisać, jak to rozumiem. Mam trochę tremy, bo to jest jedna z najważniejszych rzeczy „mojej”

antropologii. Otóż „stworzenie na obraz i podobieństwo” daje człowiekowi moc uczestniczenia w dziele formowania ludzi i nakłada na niego odpowiedzialność za cały świat.

Sądzę, że każde działanie, które kształtuje drugiego człowieka, jest uczestnictwem w tworzeniu osoby, tej jednostki („jedynostki”), którą Bóg postawił na naszej drodze. Bóg stworzył człowieka, dał mu wolność i zasiał w nim Boże ziarno, jednak to na nas wszystkich, którzy mamy wpływ na jego rozwój, spoczywa odpowiedzialność za to, kim on się stanie. Każde nasze zetknięcie z „drugim” wpływa na jego postrzeganie świata, kształtuje jego osobowość, może być świadectwem zachęcającym do dobra, ale może być też zachętą do złego, antyświadectwem. W ten sposób – przez kształtowanie drugiego człowieka – mamy udział w jego „tworzeniu”, mamy dobry lub zły udział w jego „przeobstąpieniu”, w jego drodze „do” lub „od” Boga.

W niektórych momentach naszego życia, w pewnych zawodach i sytuacjach społecznych nasza rola w stosunku do drugiego człowieka jest dramatycznie poważna. Mam tu na myśli rolę „ojca”. Ojciec to ten, kto kształtuje człowieka, formuje tego, który został mu powierzony, pomaga dostrzegać prawdę, otwiera oczy na dobro i zło. Taką rolę pełnią rodzice, ale również ci, którzy są dla innych ludzi autorytetem.

„Ojcostwem” będę nazywać uczestniczenie w Bożym dziele formowania człowieka. To ojcostwo nie wiąże się z rodzeniem dziecka. Rodzenie jest tylko początkiem. Prawdziwe rodzicielstwo polega na kształtowaniu tego maleńkiego człowieka,

## *Liście do nieznanego przyjaciele*

na rzeźbieniu nie ciała, ale duszy powierzonej nam istoty. Dlatego sądzę, że prawdziwym ojcem (matką) jest ten, kto wychowuje, pomaga wzrastać, dorastać, stawać się.

Ojcem dla wychowanka staje się wychowawca, ojciec duchowy, nauczyciel. Ojcostwo (macierzyństwo) to ogromne wyzwanie i ogromna odpowiedzialność. Czasem jedno słowo, uwaga, brak reakcji, dobry lub zły przykład „ojca” decyduje o życiu powierzonego jego pieczy człowieka, duchowego syna. Ojcostwo duchowe jest niezwykle poważnym zadaniem, ale jednocześnie najwspanialszym uczestniczeniem w Bożym dziele.

W następnym liście napiszę o innym aspekcie naszego bycia „na obraz i podobieństwo”...